© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018
Text © copyright by Joanna Jagiełło, 2018

Projekt okładki *Asia Gwis*

JOANNA JAGIEŁŁO

JAK ZIARNKA PIASKU

NASZA KSIĘGARNIA

PROLOG

Krok za krokiem, piach, resztki śniegu, piach, resztki śniegu, kamień.

Las wygląda groźnie, ale jest moim sprzymierzeńcem. W tym, co mam zamiar zrobić. Filmuję wszystko. Chcę, żeby widzieli, żeby wiedzieli. Że nie byłam zwierzęciem prowadzonym na rzeź. Że przynajmniej teraz, tutaj, potrafiłam pokierować własnym życiem. Naprawić to, co spieprzyłam. Że przynajmniej teraz, tutaj, jestem osobą, kimś, kto podejmuje decyzje dotyczące własnego istnienia. Że przynajmniej teraz, tutaj, potrafiłam zachować godność. Co pewien czas moje kalosze zapadają się w śnieg albo miękkie poszycie, kamera się trzęsie, ale próbuję ratować obraz. Nie chcę, żeby film był rozedrgany, rozchwiany. Nie chcę, żeby myśleli, że się bałam lub byłam niepewna. Wiem, że nie zdążą. Nie dlatego filmuję, żeby ktoś mnie powstrzymał. Filmuję, żeby dać świadectwo. Myślę, że kiedy to się stanie, usuną wszystkie zdjęcia, SMS-y i filmy. Nikt się nie dowie. I o to właśnie mi chodzi. Ani ja nie potrafiłabym z tym żyć, ani moja matka. Chcę zachować siebie w jej pamięci taką, jaką byłam i jaką mogłabym być, gdyby nie tamto. Nie chcę już tego robić ani żyć w strachu. Nie ma nic gorszego niż to ciągłe stąpanie po cienkiej linie. Uśmiecham się. Bo chcę, żeby taką mnie zapamiętali. Uśmiecham się, bo czuję ulgę. Sznur kołysze się

na moim ramieniu. Jestem już prawie na miejscu. Niedługo to wszystko się skończy.

Krok za krokiem, piach, resztki śniegu, piach, resztki śniegu, kamień.

Drzewo, sznur, pień. Pień pod drzewem, sznur na drzewie. Twarz do kamery. *Przepraszam wszystkich. To moja decyzja. Żegnajcie.*

Jeszcze twarz. Biały podkład, czarna łza na policzku. Komediantka życia, komediantka śmierci. Przez chwilę robi mi się smutno.

Drzewo, sznur, pień, kalosze w kropki, ironia.

Zaraz będzie po wszystkim, Nino. Trzęsę się, moje ręce tak się trzęsą, dobrze, że już nie trzymam kamery, nie będą wiedzieć, jak się bałam. Stoi dalej, na drugim pniu.

To jest nagranie na żywo, nie mogę teraz zawieść.

Zaraz będzie po wszystkim, Nino.

Jest.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Jesteśmy.

Wchodzimy razem do wody tak zimnej, że prychamy jak źrebaki. Ostrożnie. Stopa za stopą. Masz pomalowane paznokcie, każdy na inny kolor. Róż, fiolet, błękit, pomarańcz, zieleń. Artystka. Moje paznokcie są pokryte jedynie bezbarwnym lakierem, a stopy większe od twoich. Lekko dotykam błękitnego paznokcia swoim paluchem, mała gąsieniczka odskakuje. Powietrze pachnie słonymi paluszkami, wiatr, jeszcze zdecydowanie wiosenny, a nie letni, sprawia, że moje plecy pokrywają się gęsią skórką. Cofam się, kiedy tuż przed nosem przelatuje mi pszczoła. Dziwnie wczesna. Po chwili woda przestaje się wydawać lodowata, wchodzę głębiej, ciągnąc cię za sobą. Wyczuwam dłonią twój duży, okrągły pierścień ze słońcem, który nosisz na środkowym palcu, jakby to słońce zawsze miało wskazywać ci drogę. Wodorosty wdarły się między nasze palce: łaskoczą mnie tak, że zaczynam chichotać. I wtedy czuję, że wpadłaś w jakiś dół, nie wiem, co się dzieje, zaczynasz tonąć, próbuję cię wyciągnąć, ale mimo że łapię cię za ubranie, staram się mocno chwycić w talii, nie napotykam oporu. Patrzysz na mnie błagalnym wzrokiem i wiem już, rozumiem, że cię tracę, ale kiedy usiłuję dotknąć twojej twarzy, też znajduję najpierw pustkę, a potem już tylko pływające na powierzchni wodorosty. Zamykam oczy, otwieram, czuję się, jakby morze wyrzuciło mnie na brzeg. Oszalałymi rękami macam dookoła, przez chwilę nic nie widzę, ale jest sucho i ciepło, wiatr ustał. Mam wrażenie, że fale stały się materialne. W końcu widzę,

że moje niespokojne ręce próbują cię znaleźć pomiędzy wybrzuszeniami kołdry.

Ale oczywiście nie znajdą.

Jestem sama.

ANNA, 17 LAT I 9 DNI, NINA, 17 LAT

Te większe mewy mają brązowe brzuchy, te mniejsze nie. I te, i tamte wciąż latają, jakby nie mogły przestać. Małe ciemne ptaszki przeciwnie – nieruchomo siedzą na krzakach, kiedy chodzę sikać na wydmy. Kamienie też są nieruchome. Kamyki, szkło oszlifowane przez fale, plastikowe kontenery, fragmenty sieci. Kalosz. Prezerwatywa.

Nie ma cię, Nino, już od dziewięciu dni. Chodzę plażą tam i z powrotem, kilometrami, z Sopotu do Gdyni, z Gdyni do Sopotu, chodzę plażą i wołam: „Nie ma Niny! Nie ma Niny! Nie ma Niamy! Nie mie mamy! Nie, nie, nie!". Zwariowałam, ale kto by nie zwariował. Jestem chora i mam gorączkę, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Nie ma ciebie, jestem sierotą po tobie, dlatego cierpię na chorobę sierocą. Kiedy zmęczę się tym chodzeniem, siadam na mokrym, zimnym piachu i się kiwam. Matka myśli, że jestem w szkole, ale ja nie mogę tam teraz chodzić. Nie potrafię patrzeć na ludzi, ich normalność mnie przytłacza. Tylko morzu mogę wybaczyć, że zachowuje się jak zwykle, choć też wolałabym, żeby nagle zamarzło. Ale nie zamarza. Uparcie, niestrudzenie pcha białe fale w stronę brzegu. Ma nas w dupie, nie?

Ale i ty, Nino, miałaś mnie w dupie, co? Kiedy nagrywałaś swoją śmierć na kamerkę i wstawiałaś na Fejsa, miałaś w dupie, że ja nie mam Fejsa, że na zimowisku nie wolno nam

używać komórek, dopiero wieczorem, a i tak nic z tego, bo zasięg jest tylko w kiblu. Przecież ci napisałam, że dupa z internetem, to dla kogo to nagrywałaś, co? Wołałaś o pomoc? Ale do kogo?

Krok za krokiem, piach, resztki śniegu, piach, resztki śniegu, kamień.

Też tak szłaś, przez las. Obraz buja się w kamerze, kiedy twoje stopy zapadają się w śniegu. W dół i w górę, w dół i w górę. Potem jest to drzewo i sznur, i już nic więcej, tylko szarosine płaty śniegu. Musiałaś się rozbujać i kopnąć w ustawioną na czymś kamerę. Słychać coś, za krótkie na krzyk, a potem cisza i ciemność. Transmisja na żywo, zapraszamy do teatrzyku cieni. Zapraszamy do teatrzyku, na który tylko ja nie dostałam biletu. Najlepsza przyjaciółka!

Psycholożka tłumaczyła, że nie chciałaś mnie zranić, że prawdopodobnie wybrałaś ten moment, żebym nie mogła cię powstrzymać, ale nie trafiają do mnie te wyjaśnienia. Żebyś ty chociaż, Nino, była narąbana albo żebyś coś wzięła, ale nie, obraz w kamerze pokazuje cię zupełnie trzeźwą. A może jednak coś brałaś, tylko tego nie widać, bo nie mogę, nie mogę w to uwierzyć.

„Przepraszam wszystkich – mówisz. – To moja decyzja. Żegnajcie". Ale jakich wszystkich? Jakich wszystkich? A ja?

Byłyśmy jak dwie krople wody. Jak dwa groszki, dwie fasolki, bliźniaczki, papużki, koła od tego samego roweru, liście z tego samego drzewa, jak pan i pies, jak z krwi krew. Niezły rap, co? Ale byłyśmy. Jak dwie krople. Dwa ziarnka piasku. Więc od początku.

Matka szarpie mnie za rękę.

– Szybciej! – krzyczy.

Nie mogę biec, nogi mi się plączą, nie nadążam. Czarne lakierki są niewygodne, spódnica też. Twarz matki spocona, nieprzyjazna, a ja coraz bardziej się boję. Tata wrócił późno, obudził mnie, zebrało mu się na czułości. Matka się złościła: że pierwszy dzień szkoły i co on robi najlepszego, a mnie było miło, że chciał mi dać buziaka, choćby nawet w środku nocy. Matka nie daje mi buziaków. Jest jak pani pielęgniarka, taka sztywna i obca, tylko częściej krzyczy. Zaspałyśmy, bo ona się potem z tatą kłóciła i chyba w ogóle nie spali, ale to jej wina, nie moja! To ona mnie odprowadza, wolałabym, żeby tatuś, i już mi się zbiera na płacz, a ona popycha mnie tak, że prawie wlatuję przez drzwi.

Na szczęście na sali gimnastycznej jest taki tłok, że nikt nie zauważa naszego spóźnienia. Rozglądam się ciekawie, wszędzie pełno dzieci tak jak ja ubranych na biało-granatowo. Niektórzy gadają i wyglądają, jakby wcale się nie bali. Tuż przy drabinkach stoi dziewczynka podobna do mnie. Czuję się dziwnie, jakbym patrzyła w lustro! Ma jasne włosy, jak ja, trochę może jaśniejsze. Jest podobnej budowy, może chudsza, i też okropnie wystraszona. Nawet spódniczki i bluzki mamy podobne. „Jeśli trafi do mojej klasy – myślę – mogłaby zostać moją najlepszą przyjaciółką". I aż zamieram od tej odważnej myśli, bo przecież ona wcale nie musi chcieć. Może już ma najlepszą przyjaciółkę albo jest w innej klasie. Albo będzie wolała zaprzyjaźnić się z kimś innym.

Nowi uczniowie płyną jak rwąca rzeka, nie wiemy, dokąd iść. Matka znowu mnie ciągnie za rękę, tak mocno, że

w końcu puszczam jej dłoń i o mało się nie przewracam. Jest wściekła, ale jakoś trafiamy do klasy, która też jest zatłoczona, bo oprócz dzieci są tu rodzice. Przesuwam wzrokiem po białych bluzkach. Jest. Ona. Próbuję się uśmiechnąć, ale ona na mnie nie patrzy, mama coś jej mówi do ucha, a ona spuszcza głowę. Wchodzi nauczycielka, której nie lubię od pierwszego wejrzenia. Poza tym nie patrzę na nią, patrzę na Ninę, choć jeszcze nie wiem, jak ma na imię. Ale Nina nie spogląda na nikogo, tylko w ławkę. Tego dnia ani razu nie udaje mi się uchwycić jej spojrzenia, bo nauczycielka mówi kilka słów, dyktuje plan lekcji na następny dzień, a potem wszyscy się rozchodzą, jakby rozpoczęcie nauki nie było żadnym wielkim wydarzeniem.

Nazajutrz sama wstaję wcześnie. Mama się dziwi, że tak mi się spieszy do szkoły, tata mnie odprowadza, dziś jest trzeźwy i nie musi jechać do biura. Będzie pracował w domu i odbierze mnie ze szkoły. Mama poszła do domu kultury. Wróci dopiero po południu. Cieszę się, lubię być trochę sama z tatą.

W szkole jesteśmy kwadrans przed początkiem lekcji, jej jeszcze nie ma, ja zajmuję ławkę, czwartą, przy oknie. To całkiem fajne miejsce, tak mi się wydaje, nie za daleko i nie za blisko. Czekam. Kiedy wchodzi, nasze spojrzenia od razu się stykają. I wiem, że ona czuje to co ja, czuje to zetknięcie dusz, czuje, że jesteśmy takie same, o czym wiedziałam już wtedy, kiedy zobaczyłam ją przy drabinkach.

– Mogę? – pyta.

I siada koło mnie. Tata coś do mnie mówi, ale go nie słyszę, dopiero po chwili dociera do mnie jego głos, gdy ze śmiechem napomyka, że cieszy się, że znalazłam sobie koleżankę. „To nie koleżanka – chcę mu powiedzieć – to ktoś znacznie, znacznie ważniejszy”.

Bo ona została moją prawdziwą i jedyną przyjaciółką, ze złota, nie z tombaku. Ty, Nino, stałaś się wtedy kimś specjalnym, najbliższym, przyjaciółką, o której inni tylko marzą. Ale gdzieś po drodze na pewno nas podmieniono, bo nie mogę, nie mogę uwierzyć, że tak mnie zawiodłaś!

ANNA, 17 LAT I 11 DNI, NINA, 17 LAT

Kiedy wchodzę do klasy, słyszę szepty. Jestem tą, która znała tę dziewczynę, co się zabiła. Jestem tą, która była jej przyjaciółką. „Co to za przyjaciółka – mówią pewnie. – Że nie potrafiła jej pomóc".

Patrzę na twarze, które powinnam znać. Widuję je już pół roku. Ale wcale ich nie znam. Aśka, Magda, Misia, Robert, Sławek. Prawie trzydzieści twarzy, trzydzieści par oczu, które teraz na mnie nie patrzą. Nikt. Nie znam tu nikogo. Nie mam nikogo. Geografica, gruba jak hipopotam i o łagodnej twarzy hipopotama, lekko się uśmiecha, jakby ktoś jej kazał być dla mnie miłą.

– Ziemia, tak jak inne ciała Układu Słonecznego, cały czas znajduje się w ruchu. – Okrągłe wargi posmarowane perłową szminką wypluwają słowa gładkie jak kulki. – Jest to ruch wokół własnej osi. Pełen obrót to doba gwiazdowa, która wynosi ile?

– Dobę – mówi ktoś.

– Prawie dobę – prostuje Hipo. – Dwadzieścia trzy godziny, pięćdziesiąt sześć minut i cztery sekundy. A co się dzieje z brakującymi czterema minutami?

Patrzę w okno, nie na zieleń, tylko na dachy innych budynków. Ziemia obraca się nawet po czyjejś śmierci. Czyjaś śmierć nic Ziemi nie obchodzi.

– Dowodem na ruch obrotowy Ziemi jest odchylenie spadających przedmiotów w stronę wschodnią…

Mówi i mówi, a ja przestaję ją słyszeć. Jest jak telewizor, w którym ktoś wyłączył fonię. Niepotrzebnie tu przyszłam, to nie ma żadnego sensu.

Podczas przerwy uciekam ze szkoły i nikt mnie nie zatrzymuje.

Znowu chodzę i nie mogę przestać. Człapię, noga za nogą, w zamszowych kozakach, które dawno zostały zniszczone przez morze i sól. Białe zacieki wędrują coraz wyżej, nawarstwiają się jak koronki, jak wzór z lodowych stalaktytów. Przeziębienie nie odpuszcza. Mam gorączkę, ale tylko trochę, w płucach mnie za to pali, jakby zamieszkał tam smok, którego próbuję wydusić ciągłym kaszlem. Zaczyna się ściemniać. Lampy na molo przypominają płonące zapałki, a karłowate drzewa człowieczeją. Boję się ich, mam wrażenie, że zaraz w ciemności te konary porwą mnie gdzieś jak huragan Dorotkę do Krainy Oz. Może tak byłoby lepiej, bo nie chcę tu być. Na razie tworzę własną rzeczywistość. Bezpieczny świat to trasa, którą należy pokonać. To mijanie tych samych budynków, ulubionych miejsc na plaży, takich jak ten niewielki drewniany języczek wysunięty w niebieskość. Małe molo. Jest tak zimno, że morze zamarzło i ubrało je w sukienkę. A raczej w kilkanaście sukienek, bo każda ma inną drewnianą kibić. Zauważyłam, że kiedy długo wpatruję się w morze, ono zaczyna zamarzać w moich oczach,

kamienieć. A kamienie przeciwnie, poruszają się jak wieloryby. Wzrok oszukuje, mózg wariuje albo na odwrót.

Teraz, Nino, przede wszystkim mi ciebie brakuje. Już nawet nie jestem zła. Morze wypłukało tę złość, wiatr ją wywiał, tyle płakał za tobą, że i ja zaczęłam. Płakać, zamiast się wściekać.

Opowiem ci teraz o twoim pogrzebie. Był bardzo piękny, na pewno by ci się podobało. Przyszło mnóstwo ludzi, z kwiatami i wieńcami. Martwiłam się, że nie mam czarnej kurtki ani płaszcza, moja kurtka jest koloru khaki, z kapturem obszytym żółtym futrem. Zresztą dobrze o tym wiesz, kupiłaś taką samą. Często wybierałyśmy identyczne ubrania, choć ty w gruncie rzeczy nosiłaś się inaczej, bardziej kolorowo. Też nie miałabyś kurtki na pogrzeb, ale ty na żaden iść nie musiałaś. Mama powiedziała, że trudno, kurtka jest OK, przecież nie będzie mi specjalnie kupowała czarnej. A szkoda. Może w pewnym wieku trzeba mieć coś czarnego? Już kiedy ojciec umarł, był problem, trzeba było pomyśleć o tym wtedy, teraz nie byłoby kłopotu.

Msza była nudna, jak zawsze na pogrzebach. W ogóle nie mówi się wtedy o zmarłym, tylko wymienia się kilka razy jego imię, na otarcie łez żałobników, ale to takie bezosobowe. Potem śpiewali chłopak i dziewczyna, chyba z twojej klasy, prawda? Nie znam ich, ale chyba tak, wydawali się naszymi rówieśnikami. Śpiewając *Hallelujah* Cohena (wiem, że to lubiłaś), ten chłopak prawie płakał. Czy coś cię z nim łączyło? Boże, przecież powinnam to wiedzieć, ale co ja tak naprawdę o tobie wiem, przyjaciółko? Zawsze mi się wydawało, że wszystko. Och, jakie to gorzkie.

Potem szliśmy dość daleko za samochodem, bo ten cmentarz jest duży, i muszę ci powiedzieć, że jakoś to znosiłam,

dopóki twoja mama nie rzuciła garstki ziemi na trumnę. Wtedy nie wytrzymałam, rozpadłam się zupełnie i zaczęłam szlochać tak, że w końcu musiałam odejść na bok, by nie wywoływać zamieszania. Nie wiem, czemu ta rzucana ziemia zrobiła na mnie takie wrażenie. Jest coś strasznego w zakopywaniu, coś nieodwracalnego, od razu się myśli o ściółce, próchnicy, robakach, o całej tej gnijącej materii, która cię teraz pochłonie. Mam nadzieję, że dobrze sprawdzili, czy naprawdę nie żyjesz. Bo, wiesz, mam problem z tym, że nic nie poczułam. Ludzie mówią, że jak się jest z kimś związanym, to się czuje, jeśli tej osobie dzieje się coś złego. A ja nie poczułam nic. Rozpalałam wtedy ognisko i przyglądałam się, jak Staszek gra na gitarze. Czy nie wyczułam, że umierasz, bo byłam zapatrzona w Staszka? Teraz nawet nie mogę o nim myśleć. Bo co, jeśli przez to moje zapatrzenie w niego straciłam ciebie? Może to była kara za zdradę, za to, że chciałam za dużo?

Ale jak tata umarł, to też nie wiem, czy coś poczułam. Zresztą rozmawiałyśmy o tym i wtedy ci powiedziałam, że tak, że cały dzień chodziłam markotna i tak mi było smutno, jakby coś się miało wydarzyć. Ale teraz nie wiem, czy sobie tego nie wymyśliłam, bo tak bardzo chciałam wierzyć, że byłam z tatą bardzo związana. Może jednak nie czuje się nic.

Twoja mama strasznie płakała, a tata ją pocieszał. Na pewno byłoby ci miło, że choć przez chwilę się nie kłócą. Pojawiło się też mnóstwo innych krewnych, ale tylko twoją babcię rozpoznałam. Nie wiem, czy ty byś wiedziała, kim oni wszyscy są… Ja tak miałam na pogrzebie taty: bez przerwy podchodzili do mnie obcy ludzie i składali wyrazy współczucia, jakby mnie dobrze znali, a ja nie miałam pojęcia, kim są i czego chcą.

Potem, gdy wracaliśmy, słyszałam, jak ludzie gadali. Wszyscy pytali „d l a c z e g o?” i nikt nie umiał tego wytłumaczyć. Coś tam mówili, że przez chłopaka, ale przecież ty nie miałaś chłopaka? Albo ja o tym nie wiem. No dobra, był Mikołaj, ale to jeszcze w gimnazjum, i to ty mu się podobałaś bardziej niż on tobie. Chyba nic byś sobie nie zrobiła przez kolesia, który nawet cię specjalnie nie kręcił?

Może oni coś wiedzą, ale boję się zapytać. W ogóle nie rozmawiałam z twoimi rodzicami, powiedziałam tylko „dzień dobry”. Chciałam coś dodać, że mi przykro i tak dalej, ale nic mi nie przeszło przez gardło. Im też nie. Wyglądali strasznie, naprawdę to nimi wstrząsnęło. W końcu mieli tylko ciebie. A ty jesteś teraz szczęśliwa? Naprawdę ci lepiej? Nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. I nie mam żadnej wskazówki. Najmniejszej. Do tego po śmierci mojego ojca powinnaś wiedzieć, jak ciężko znoszę pogrzeby. Przecież byłaś ze mną, widziałaś. Nie pomyślałaś, jak to na mnie wpłynie? Wiesz, Nino, najgorsze jest to, że sądzę, że tam, w lesie, nie pomyślałaś o mnie nawet przez chwilę.

ANNA I NINA, 7 LAT I 11 MIESIĘCY

– To mama na reniferze – mówi Nina, właściwie niepotrzebnie, bo obrazek jest znakomity: jej matka wygląda, jakby to było zdjęcie, renifer za to jest śmieszny, bajkowy. Nina rysuje, jakby urodziła się z kredką w dłoni. Moje rysunki niestety są nieporadne, choć bardzo lubię plastykę. Wiem, że jeśli się postaram, będę rysowała lepiej. Ale czy tak jak Nina?

To oczywiście jedna z laurek, które przygotowujemy na święta. To Nina zaraziła mnie tą tradycją. Jej mama wysyła

kartki na święta wszystkim krewnym i znajomym, więc ona postanowiła, że będzie robiła to samo. Mamie i tacie też zrobi kartki pod choinkę.

– Bo im Mikołaj nic nie przynosi, wiesz?

– Moim przynosi – mówię.

– Hm, to dziwne – odpowiada Nina. A potem dodaje coś strasznego: że jej zdaniem Mikołaj to jedna wielka bujda, mydlenie oczu.

– To tylko po to, żebyśmy były grzeczne. To oni kupują te prezenty, wiesz? – mówi. – Bo zobacz: ja na przykład w zeszłym roku nie byłam bardzo grzeczna, a dostałam wielki zestaw Lego i jeszcze keyboard. A ty co dostałaś? – Wlepia we mnie oczy.

– No… – Zastanawiam się. – Sweter. I blok. I kredki. U mnie Mikołaj mało przynosi. Ale rodzicom też coś dał. Mama dostała perfumy, a tata koszulę…

– Bo to nie Mikołaj! – triumfuje Nina. – To oni kupują. Dlatego u mnie rodzice nie dostają. Bo sobie nie kupują, są pokłóceni.

Mam łzy w oczach. Nie chcę, żeby nie było Mikołaja.

A teraz… teraz nie chcę, żeby ciebie nie było, Nino.

Wiesz, tak dobrze pamiętam tę rozmowę, bo to był chyba pierwszy raz, kiedy dotarło do mnie, że życie może wcale nie jest takie, jak myślę. Zrozumiałam, że masz rację: przecież już wcześniej w czasie świąt zdarzały się podejrzane rzeczy. Na przykład Mikołaj nigdy nie przychodził do domu, tylko zostawiał paczkę pod drzwiami. Zawsze się spieszył. Do przedszkola przychodził i do szkoły, ale to byli inni Mikołaje i ci wcale się nie spieszyli. Pytałam tatę, dlaczego jest ich kilku. Odpowiedział, że jeden nie poradziłby sobie z tylo-

ma prezentami, ale nie potrafił wytłumaczyć, czemu tamci się nie spieszą, a nasz – zawsze. Kiedy powiedziałaś mi, jak to wygląda naprawdę, byłam zawiedziona, ale cieszyłam się przynajmniej z tego, że teraz rozumiem, dlaczego jedne dzieci dostają lepsze, a drugie gorsze prezenty. Nie zależało to wcale od tego, czy były grzeczne, ale od tego, w jak bogatej urodzili się rodzinie. Łatwiej było to zrozumieć i się z tym pogodzić.

Potem zdałam sobie sprawę, że świat cierpi nie tylko na brak Mikołaja, lecz także na wiele innych chorób. Że są ładni i ładniejsi (ja byłam taka sobie, ty – ładniejsza). Że niedostatek, ciągła walka o związanie końca z końcem to nie tylko gorsze prezenty na święta, ale też znacznie poważniejsze problemy. Że nie wszyscy na tym świecie mogą liczyć na miłość. A przede wszystkim – że można stracić kogoś najbliższego. Kiedy umarł tata, zrozumiałam, że coś bezpowrotnie się skończyło i już nigdy nie będzie tak samo. Myślałam, że nic gorszego już nie może mi się zdarzyć – bo co? Nie przypuszczałam, że dostanę od losu jeszcze jedną kulkę. W dodatku wystrzeloną z twojej ręki.

ANNA, 17 LAT I 13 DNI, NINA, 17 LAT

Jesteś. Masz urodziny, na stole stoi wspaniały tort bezowy z kremem z mascarpone i malinami, twój ulubiony. Siedzimy w ogrodzie pełnym dziwnych roślin i czekamy na gości.

Przyglądam się kwiatom, które wyglądają jak skrzyżowanie chabrów i storczyków. Kształt mają przedziwny, kolory też średnio dobrane, co mnie dziwi, bo przecież w urodziny powinnaś dostać najpiękniejsze kwiaty. Ale kiedy przysuwam twarz do kielichów w kształcie

kogucich klejnotów pokrytych kobaltowym puchem, w nozdrza uderza zapach tak wspaniały i niezwykły, że nawet nie próbowałabym go opisać.

Ty siedzisz na huśtawce i wymachujesz nogami. „Chyba nie będę goliła włosów, wiesz?" – mówisz, a mnie to trochę dziwi. Nie będziesz goliła włosów? „Tak – potakujesz – ani obcinała. Nie dziw się tym kwiatom, mają tu bardzo, bardzo dobry nawóz". „Kiedy oni przyjdą? – niecierpliwię się. – Zobacz, tort rozpuści się w tym upale". „Nikogo nie będzie – odpowiadasz. – Jesteś tylko ty". Uśmiecham się do słońca i wpatruję w podszytą pomarańczem chmurę na niebie, którą co kilka sekund zasłania twoja głowa. Wysoko – nisko – wysoko – nisko. Nagle – nie wiemy, jak to się dzieje – odbijasz się zbyt wysoko, huśtawka przez chwilę znajduje się w pionie, ale nie wraca, spadasz po drugiej stronie jak niechciana lalka. Biegnę tam, omijając cały czas chyboczącą się huśtawkę. Oby tylko nic ci się nie stało, oby się nic nie stało! Dobiegam do ciebie, oddychasz, na chwilę podnosisz na mnie wzrok, lecz kiedy próbuję cię uchwycić, dłonie przechodzą przez twoje ciało jak przez powietrze. Wciskam oczy w oczodoły, już wiem, że to sen, już chcę się z niego obudzić, ale kiedy znowu otwieram powieki, patrzysz na mnie błagalnie, tak jakbyś próbowała wstać, a ja widzę, że już nie byłabyś w stanie, twoje ciało dosłownie wsiąka w trawę. No i widzę, że ktoś musiał w tym czasie zapalić wszystkie świeczki na torcie, bo cały wosk się wypalił i zgasły.

Znowu mam te sny. Wciąż je mam. Nie pamiętam już, kiedy spałam normalnie. Są dziwne. Nigdy wcześniej nie czułam w nich dotyku ani zapachu. Czasem śniłam dziwne rzeczy, ale byłam bardziej obok, jak obserwatorka. Teraz niepokojąco przypominają rzeczywistość. Czuję w nich zimno i ciepło, kolory są nasycone, a dźwięki i wonie nawet bar-

dziej intensywne niż w prawdziwym świecie. Sny mnie przerażają, ale też fascynują. I nawet trochę na nie czekam. Bo jesteś w nich taka prawdziwa, że przez chwilę jeszcze mogę cię mieć. Przynajmniej przez moment mogę być szczęśliwa.

Minęło trzynaście dni. A jedenaście, odkąd się dowiedziałam. Ciekawe, czy w ogóle przeszło ci przez myśl, w jaki sposób się dowiem. Przecież tego dnia, kiedy poszłaś do lasu, żeby to zrobić, ja nie miałam o niczym pojęcia. Dzwoniłam do mamy wieczorem, ale ona też nic jeszcze nie wiedziała. Do ciebie również dzwoniłam, chciałam złożyć ci życzenia urodzinowe, ale telefon był wyłączony, więc zostawiłam wiadomość:

Hej, kochana, tu Anka. Mam nadzieję, że porabiasz coś super w urodziny, skoro nie odbierasz! Całuję cię mocno, życzę wszystkiego naj, naj, naj! Buziaki!

Żywy, wesoły ton, taki, jakim składa się urodzinowe życzenia. To straszne myśleć, że wtedy leżałaś już w kostnicy. Twoja mama była w takim szoku, że trafiła do psychiatryka i dostała od razu jakąś oszałamiającą dawkę środków uspokajających, więc jej nie winię, że do mnie nie zadzwoniła.

Moja z kolei uznała, że ta wiadomość może zaczekać. Ktoś jej powiedział już następnego dnia, ale nie przyszło jej do głowy, że powinna mnie o tym poinformować.

– Nie chciałam ci psuć obozu – powiedziała potem. – Było wiadomo, że na pogrzeb zdążysz wrócić, po co miałaś się tam martwić?

Idiotyczne rozumowanie. No po prostu żal… Przecież to najbardziej popsuty obóz świata! Czy naprawdę myślała, że jestem na biegunie, prerii, nie wiem gdzie… na Machu Picchu, gdzieś, gdzie nie ma żadnego kontaktu ze światem? Czy

naprawdę sądziła, że przez pięć dni – bo tyle jeszcze trwało zimowisko – nie dowiem się niczego?

Następnego dnia znów były problemy z zasięgiem i nawet nie próbowałam do nikogo dzwonić. A potem pojechaliśmy na wycieczkę do Zakopanego. I teraz pomyśl, Nino. Siedzimy w Macu – wielka atrakcja wycieczki – każdy wpieprza swoje hambuksy, szczęśliwi jesteśmy jak nie wiem, bo po zimowiskowym jedzeniu wreszcie mamy jakiś fast food, i oczywiście wpatrujemy się w ekrany, bo jest wi-fi, och, jacy jesteśmy spragnieni wieści ze świata! Zaglądam na Fejsa, nie mam żadnych wiadomości, żadnych ciekawych powiadomień. Wchodzę na twój profil, bo się denerwuję – znowu nie odebrałaś, a na urodzinowego SMS-a nie odpisałaś (a i mnie nie złożyłaś życzeń). Wchodzę więc na twój profil i widzę sto pierdzielonych gwiazdeczek i te pierdy: „spoczywaj w pokoju", „będziemy pamiętać". Zrywam się od stolika i biegnę do kibla, nie wiem po co, ale wiem, że zaraz się rozpadnę na drobne kawałeczki i nie chcę, żeby ktoś to oglądał. Wiesz, jakie to uczucie, gdy ziemia nagle usuwa się spod stóp? Nie, no, przepraszam, wiesz. Ale u ciebie to była tylko chwila, a u mnie cała wieczność. Złapałam się kibla, rzygałam Big Makiem i frytkami, próbując ignorować walenie w drzwi. Pamiętasz karuzelę w Gdańsku?

ANNA I NINA, 8 LAT

Obie kończymy dziś osiem lat. Dlatego to prawda, że jesteśmy siostrami zagubionymi we wszechświecie. Bo jak to możliwe, że jesteśmy tak podobne i jeszcze mamy urodziny w tym samym dniu? Nie robimy żadnego przyjęcia, ale tata zaprasza

nas rano do wesołego miasteczka. A Nina będzie miała przyjęcie po południu, jej mama je urządza i ja jestem zaproszona. Szkoda, że to nie wspólna impreza urodzinowa, ale to nie od nas zależy. Nie przejmuję się, cieszę się wycieczką.

Jest zimno jak dziś, jednak słońce mocno świeci i przyjemnie tak iść po skrzypiącym śniegu, podskakując z podekscytowania! Nigdy nie byłam w wesołym miasteczku, a Nina tak, ale nic nie pamięta, więc też jakby nie była.

Idziemy do Krainy Luster i Strachów i to jest super. Umieram ze śmiechu! Jestem gruba jak beka, a Nina chuda jak por, mamy głowy jak nieforemne kartofle! Potem jemy kiełbaski, tata pije piwo. „Karuzela?" – pyta, a my oczywiście skaczemy z radości. Ale nie jest tak, jak myślałam. Robi mi się niedobrze, krzyczę, a potem rzygam tymi kiełbaskami – na siebie, na ludzi w dole, na wszystko. Tata nie jest zły, może tylko trochę, ale ja jestem cała brudna, musi mnie wyczyścić chusteczkami i wodą. Nina bawi się świetnie. Ma zaróżowione policzki i wygląda bardzo ładnie. A ja się dąsam. Chcę misia ze strzelnicy.

Tata mówi, że świetnie strzela. Już za pierwszym razem trafia w tarczę. Wygrywa maskotkę i daje ją Ninie. Bo jest jego gościem i tak wypada. Nie martwię się, pewnie zaraz dostanę swoją. Jednak nie dostaję, bo tata strzela raz, drugi, trzeci, ale niecelnie, a potem mówi, że już nie ma pieniędzy, i wracamy do domu.

Po południu Nina ma przyjęcie i dostaje jeszcze inne prezenty, a ja w końcu dostaję tylko piórnik, bo w starym zepsuł się suwak. Ten nowy jest nieładny, taki jak dla chłopaka. Jest mi przykro. I wiesz co, Nino? Zawsze tak było. Zawsze miałaś więcej i lepiej, a ja zawsze czułam się wyrolowana. Ale tak wyrolowana jak teraz nie czułam się nigdy. Bo miałaś to

swoje ostatnie przyjęcie urodzinowe, lecz mnie na nie nie zaprosiłaś. A jeśli – bo to i moje urodziny – chciałaś mi zrobić w ten sposób prezent, to dziękuję. Ale gdzie tam myślałaś o prezencie dla mnie!

I wtedy, w łazience, wróciło to uczucie, jak wówczas, na karuzeli: cały świat się kręcił, wirował, a ja z nim. Czułam się trochę jak Alicja w tej swojej Krainie Czarów, tylko nie wiedziałam, w co wpadnę. A teraz już wiem, że to po prostu ciemność. Nic. Pustka, brak wszystkiego i w końcu – brak ciebie.

ANNA, 17 LAT I MIESIĄC, NINA, 17 LAT

Dzisiaj po raz pierwszy poczułam, że może idzie wiosna. Szłam swoją stałą trasą (teraz chodzę po szkole, a nie na wagary, trzeba przecież w końcu zacząć normalne życie – albo przynajmniej udawać, że jest normalnie!), ale wiatr miał inny zapach. Lubiłaś wiosnę, do cholery, jak ty lubiłaś wiosnę! Ja wolałam lato. A ty zachwycałaś się pierwszymi liśćmi, pierwszym wiosennym słońcem, uwielbiałaś plażę wiosną, gdy trzeba jeszcze siedzieć w kocach i polarach, ale już można się opalać, grać w karty, jeść niezdrowe rzeczy, chipsy i żelki, z piachem chrzęszczącym w zębach. Uwielbiałaś ten czas. Nie mogłaś trochę poczekać?

Nadal nie wiem, dlaczego to zrobiłaś. Podobno jednak chodziło o chłopaka. Ale o którego? To musiał być ktoś, kogo nie znałam. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Wiesz, że poszłam nawet do twojej szkoły? Odważyłam się! Tak, to do mnie niepodobne. To ty byłaś zawsze ta śmielsza, nie bałaś się odzywać do obcych ludzi. Ja to przy tobie istna

pierdoła! Przypuszczam, że nie odważyłabym się targnąć na własne życie, więc może pierdołowatość ma również zalety? Uśmiechnęłam się chyba po raz pierwszy od miesiąca.

Byłam w twojej szkole tylko raz, na dniu otwartym, kiedy sama chciałam się do niej dostać, jednak ta wymarzona szkoła nie zrobiła na mnie wtedy dobrego wrażenia. Wszystkie szkoły są takie same. Chyba to przez te przestrzenie, te korytarze, w których dziwnie niesie się głos i słyszysz wszystko naraz: gwizdek i odbicie piłki, tupot nóg zbiegających po schodach, rozmowy, rozmowy… Przerwa staje się czymś nie do zniesienia. Światło też jest dziwne, niby dzienne, ale jakoś się dziwnie sączy. Dla mnie wszystkie szkoły są upiorne. A może to ja nie jestem normalna. Cóż, podobno artyści często zapadają na choroby psychiczne.

Na dole, na szczęście, nikt mnie o nic nie pytał. Tam jest taka niby-recepcja, ale krzesło było puste, więc szybko przemknęłam po schodach na górę. Weszłam do pokoju nauczycielskiego, wszyscy akurat pili kawę, dopadłam planu i zobaczyłam, że twoja klasa ma zajęcia w sali 104.

Przed salą siedzą jakieś dziewczyny, pewnie twoje koleżanki z klasy. Nie znają mnie. Nie jestem dla nich interesująca, więc obrzucają mnie wzrokiem i wracają do swoich komórek. Są ładne i fajnie ubrane, widać, że to szkoła artystyczna. Jedna ma na sobie kolorowe legginsy i sprane zielone moro, druga jest cała na czarno i w kapeluszu, trzecia włożyła odjechaną patchworkową sukienkę. Tylko czwarta wygląda mniej więcej tak jak ja, czyli zupełnie przeciętnie: dżinsy i T-shirt. Uniform współczesnego człowieka.

Kucam obok nich.

– Hej – mówię. – Jesteście z 1b?

– A co?

Cóż, współczesny człowiek ma też znacznie upośledzony moduł uprzejmości.

– Jestem przyjaciółką Niny.

To imię wywołuje u nich coś w rodzaju wstrząsu elektrycznego i nagle wstają, więc i ja ruszam się z kucek.

– Ania – mówię.

– Tonia.

To ta w czarnym.

– Matylda.

To ta w legginsach.

– Hanka.

To ta w sukience.

– Lucyna. Ale mów na mnie Lux.

To ta ubrana jak ja. Dopiero kiedy podnosi głowę, zauważam, że może ciuchy nosi zwyczajne, ale ma kolczyki w brwiach. Dużo kolczyków w brwiach.

– Pozwalają? – pytam. – Na kolczyki? – W mojej szkole byłoby to nie do pomyślenia.

Macha ręką.

– Dali już sobie spokój.

– Przyjaźniłam się z Niną.

To dziwne, ale czuję, że muszę je do tego przekonywać. W końcu nigdy mnie nie widziały. Nie poznałam nikogo z klasy Niny, taka jest prawda. Chyba zabrakło na to czasu. Ale możliwe też, że Nina się mnie wstydziła. Jednak ja wtedy myślałam inaczej. Wydawało mi się, że w mojej klasie nie ma nikogo interesującego albo że nikogo jeszcze na tyle dobrze nie poznałam, aby przedstawiać go Ninie. Sądziłam, że ona miała tak samo.

– Byłyśmy przyjaciółkami… praktycznie od dziecka. Nie wiem… dlaczego ona…

Kurczę, za każdym razem, kiedy chcę powiedzieć: „popełniła samobójstwo” albo „zabiła się”, albo choćby „to zrobiła”, za każdym razem czuję łzy napływające pod powieki. To jak choroba.

– …to zrobiła. – Pozwalam łzom płynąć. Trudno. Przerwa zaraz się skończy. – Chciałam… Może wy coś wiecie…

– Nie – odpowiadają unisono, kręcąc głowami. Wyglądają na spłoszone. Czy jest coś, o czym nie chcą mówić?

– Na pewno? Może się z kimś spotykała, może poznała kogoś…

– Nie znałyśmy jej za dobrze. Trochę się alienowała.

– Ona była trochę… dziwna – dodaje czarna.

– Nie – zaprzecza Lux. – Żyła jakby w swoim świecie. Ja tam ją lubiłam, chociaż mało znałam. Ale jak coś powiedziała, to w punkt. Tyle że była trochę zamknięta.

– No i naprawdę miała pierdolca na punkcie sztuki.

– Chciała tylko rysować. Zostawała nawet po lekcjach w pracowni. Mówiła, że woli tu, bo w domu nie może się skupić. My też czasem zostajemy, ale ona to naprawdę… Odjazd…

– Próbowałyśmy ją gdzieś wyciągnąć, ale nie była chętna, więc dałyśmy jej spokój. Ale w ogóle to szkoda dziewczyny. Taki talent.

Znowu zaczynam płakać. Czy już całe życie będę ryczeć, gdy tylko zacznę rozmawiać o przyjaciółce? Rozlega się dzwonek i ratuje mnie od tej rozmowy. Nie mam na nią siły.

– Co teraz macie? – pytam.

– Historię sztuki – odpowiada Lux.

– Zazdroszczę wam. A wiecie, że też tu chciałam chodzić?

– Serio?

– No. Nie dostałam się. Byłam tuż pod kreską.

– No wiesz, jedno miejsce się zwolniło – mówi czarna, po czym zakrywa sobie usta dłonią. – O nie! Sorry. Sorry za ten suchar. Ja zawsze najpierw gadam, a potem dopiero mi zwoje hulają. Nie chciałam.

– OK – zapewniam. – Luzik. Zresztą to fakt.

I nie mogę nic poradzić, że ta myśl zagnieżdża mi się w głowie.

Czy naprawdę mogłabym się przenieść? Ale, Nino, to jakoś głupio wskakiwać na twoje miejsce. Sama nie wiem… Przecież chciałam się tu uczyć. Ty i tak zrobiłaś, co zrobiłaś, i tego nikt ani nic nie zmieni.

Zresztą to pewnie niemożliwe. Pewnie jest jakiś program, musiałabym coś nadrobić czy zaliczyć. Sama nie wiem. Pomyślę o tym później…

Wiesz, co robię teraz? Pewnie wiesz… A może nie. Rozłożyłam koc i jem żelki. Najpierw patrzę przez nie w słońce. Pamiętasz?

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl **www.nk.com.pl**

Książkę wydrukowano na papierze
Ecco-Book Cream 60 g/m² wol. 2,0.
ANTALIS Polska

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Magdalena Majewska*
Korekta *Zofia Kozik, Ewa Mościcka, Magdalena Szroeder-Stępowska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna
Paweł Nowicki

ISBN 978-83-10-13344-1

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia", Warszawa 2018 r.
Wydanie pierwsze
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań